



...„książka musi być łatwiej dostępna czytelnikom...”

Mieczysław Skąpski

LOSY KSIĄŻEK

O d lat sytuacja na rynku księgarskim niepokoi działaczy kulturalnych. Wiadomo powszechnie, że cierpimy na stały głód książek. Rozbudziliśmy w pierwszych latach powojennych zainteresowanie książką tak szerokim mas społeczeństwa jak nigdy w naszej historii. Dzisiaj nie jesteśmy w stanie tego zainteresowania zaspokoić. Brak książek, zwłaszcza tych „do czytania”. Jednocześnie jednak rosną rezerwy książek, których nikt nie chce kupić. W skali krajowej rezerwy te sięgają dziesiątków milionów złotych. Skądinąd zaś wiadomo, że książki wydają się dla przewidywanego czytelnika. Wiadomo jest z tym przewidywaniem?

Szwankuje polityka kulturalna w dziedzinie wydawniczej. Z jednej strony rosną rezerwy, z drugiej książki poszukiwane nie mogą doczekać się wznowienia. Bestselleri sprzedają się spod lada, znikają one z księgarń w ciągu kilku godzin. Właściwie pojęcie bestsellera nie ma w naszych warunkach w ogóle zastosowania, używa się go błędnie. Bestseller oznacza przecież książkę, która w danym roku była najlepiej sprzedawana, czyli że pokryła w tym roku wszelkie zapotrzebowanie i w rezultacie osiągnęła tyle to a tyle sprzedanych egzemplarzy. Ponieważ u nas nie istnieje praktyka natychmiastowych dodruków tych tytułów, które zostały sprzedane, a nakłady są tak małe, że wiele tytułów znikają natychmiast po dostarczeniu do księgarń — nie można niczego wywnioskować z faktu wyczerpania tytułu. W takiej samej sytuacji znajdują się bowiem nie dwa — trzy tytuły, lecz dziesiątki tytułów. Nakłady są ustalane albo na podstawie prawa autorskiego (gdzie mówi się jaki musi być nakład podstawowy), albo są po prostu wydumane.

Miliony książki przyzwyczaili się już do tego, że na książkę trzeba polować, trzeba śledzić jej los od zapowiedzi księgarskiej po opuszczenie przez nią zakładu graficznego i przekazanie do księgarń. Trzeba też być w dobrych stosunkach z księgarzem, by zapewnić sobie nabywanie pożądanego tytułu. Ale mimo największych nawet zabiegów nie uda się wszystkim chętnym zaspokoić szlachetnej pasji. Albowiem jest ich o wiele więcej niż książek.

Pozostają biblioteki. Jeśli nie można książki nabyć, chciałoby się ją przynajmniej przeczytać. Tu jednak mamy problem innego rodzaju. Od lat nasze biblioteki, zwłaszcza powiatowe, miasteczkowe i wiejskie, cierpią na brak pomieszczeń. Lokale zawalone książkami nie są w stanie przyjąć nowych. Powie ktoś — trzeba zrezygnować z książek nieczytanych bądź przestarzałych i nieaktualnych. Tak, tylko kto weźmie na siebie odpowiedzialność za decyzję wydania wyroku na książkę i stwierdzenia: — to „cegieła”, przekazać ją na przemiał czy makulaturę. Problem z roku na rok stawał się ostrzejszy, w tym roku stał się już palący. Decyzja nadeszła ostatnio do bibliotek wojewódzkich w postaci dwóch wykazów obejmujących około 3 tys. pozycji zdeaktualizowanych, które

należy z księgozbiorów usunąć. Najwięcej wśród nich literatury społeczno-politycznej i rolniczej, w tych dziedzinach najtrudniej utrzymać aktualność, zmiany zachodzą szybko.

Rozpocznie się więc wielka praca eliminacji z bibliotek tytułów zbędnych, niepotrzebnych zajmujących miejsca. Biblioteki powiatowe będą powoływać komisje — z udziałem branżowych specjalistów — które będą decydować jakie książki zajmują niepotrzebnie miejsce na półkach. Warunkiem usunięcia książki przestarzałej będzie wskazanie tytułu aktualnego, który można nabyć i którym można zastąpić lukę w księgozbiorze. Wykaz 3 tysięcy tytułów oczywiście sprawę ułatwi, ale przecież idzie nie tylko o tytuły w tym wykazie ujęte.

Istnieje niemało tytułów, którym nie można zarzucić oprócz tego, że nikt o nie nie prosi, że latami zalegają półki biblioteczne nieruszone. To jest problem sam dla siebie. Tych książek żadna komisja, żaden okólnik nie skaże na zagładę a przecież nie ma z nich żadnego pożytku społecznego. Odwrotnie — wyrządzają one społeczną szkodę zajmując w bibliotece miejsce, które można by przeznaczyć książce chętnie czytanej. Tę sprawę próbuje się w Poznaniu rozwiązać przez utworzenie centralnego magazynu, w którym owe nieczytane, lecz ciągle aktualne książki znalazłyby schronienie i skąd każda biblioteka — w wypadku zażądania przez czytelnika tego tytułu — mogłaby je w niedługim czasie otrzymać. Magazyn taki, utworzony w Siedlcu w pow. średzkim, zgromadził już około 90 tys. książek — cegieł. Ale akcję trzeba było w zeszłym roku przerwać z powodu kapitalnego remontu pomieszczeń magazynowych. Niestety, remont jeszcze trwa i końca jego nie widać.

Rozwiązanie wydaje się interesujące i prawdopodobnie nadejdzie — chyba niedługo — potrzeba tworzenia tego rodzaju magazynów w powiatach. Biblioteki wszystkich szczebli mogłyby dysponować spisami książek przechowywanych w owych magazynach, same zaś miałyby jedynie książki będące w stałym obrocie. Jeśli nie możemy zaspokoić zapotrzebowania na książkę, trzeba ludziom umożliwić dotarcie do niej, wypożyczenie jej. Książka jest i zapewne długo jeszcze pozostanie najważniejszym elementem wychowania kulturalnego i rozwoju intelektualnego. Wszelkie trudności w kontaktach z książką przynoszą niepotworzone szkody.

A przecież ile mamy jeszcze szkół wiejskich, w których bibliotekach istnieje jeden egzemplarz „Pana Tadeusza”, w których w ogóle nie ma Sienkiewicza i wielu innych lektur szkolnych? Jeśli uczniowie tych szkół nie zostaną przyzwyczajeni do czytania dobrej literatury za młodu, to czy w wieku dojrzałym znajdą jeszcze okazję do wyrobienia sobie nawyku czytania?

Książka musi być łatwiej dostępna czytelnikom. W tym celu należy dokonać kilku rzeczy: zapewnić bibliotekom priorytet w zaopatrzeniu w dobre książki (po uprzednim oczyszczeniu ich z cegieł) elastyczniej stosować wznowienia poczytnych tytułów, może nawet wprowadzić instytucję dodruków, ostrożnie ustalać nakłady książek, które słusznie można podejrzewać o to, że nie będą się cieszyć wielką poczytnością, zmniejszyć rezerwy (a raczej nie doprowadzać do ich powstawania w tych rozmiarach jak się to dzieje dotychczas).

Habent sua fata libelli — mówili starożytni Rzymianie. Ich losy i dzisiaj bywają niewesołe. Widać wprawdzie jaskółki poprawy. Ale do istotnej poprawy jeszcze daleko.

Feliks Biłos

Gdy do szkoły droga daleka

G dzieś kiedyś przeczytałem, że na jednej z brytyjskich wyspek mianowano nauczyciela dla dwójki dzieci. Do najbliższej szkoły trzeba by bowiem jechać dwie godziny kolejką górską. Przypomniałem sobie tę informację w trakcie spotkania grupy poselskiej z władzami i aktywnym powiatu kościańskiego, na którym rozpatrywano między innymi problem szkolnictwa.

Przykład brytyjskiej wyspki z pozoru tylko oderwany jest od polskiej rzeczywistości. Bo chociaż dzieci nasze nie mieszkają na morskich, skalistych wyspach, to przecież dla setek i tysięcy maluchów, rozsiadanych po rozlicznych przysiółkach, osadach leśnych, gospodarstwach PGR-owskich, droga do szkoły jest bardzo daleka. Daje się to dzieciarni we zna ki, zwłaszcza w jesienne szarugi i w śnieżne zimowe dni. Wprawdzie na wiejskich drogach coraz powszechniej pojawiają się kryte wozy wypełnione dziećmi szkolnymi, jednak obowiązek dowożenia dzieci do szkoły wprowadzony został na razie tylko w państwowych gospodarstwach rolnych.

Kilka liczb

Na około 3,5 tysiąca wsi sołeckich naszego województwa, szkoły 8-klasowe istnieją w 1 400, a 4-klasowe w 1 790 miejscowościach. Absolwenci tych ostatnich kontynuują naukę w tzw. szkołach zbiorczych, odległych zwykle o parę kilometrów. Ostateczne ustalenie poszczególnych typów szkół było prawdziwą łamigłówką. Względny dydaktyczno-wychowawczy składowy do stworzenia możliwie najgęstszej sieci pełnowartościowych placówek o ośmioletnim programie nauczania, z pełną obsadą nauczycieli, z odpowiednim zapleczem pracowni, gabinetów przedmiotowych itp. Ale z drugiej strony zapewnienie dzieciom warunków regularnego uczęszczania do szkoły, zmuszając do ograniczenia tych ambicji. Dlatego wiele wiejskich ośmiolatek nie posiada ani pełnej obsady nauczycielskiej, ani stosownego wyposażenia lokalowego i naukowego.

Cel — równy start

We wszystkich poczynaniach władz oświatowych podstawowym kryterium było zapewnienie młodzieży wiejskiej możliwie równego startu z jej miejskimi kolegami. A jest to zadanie wcale niełatwe. Już sam fakt, że mamy jeszcze w województwie około 1 700 szkół o jednym lub dwóch nauczycielach, które muszą pracować metodą klas łączonych, a więc według skróconego rozkładu godzin przy nie zmniejszonych wymaganiach programowych, mówi sam za siebie. Co gorsza, do metody klas łączonych musi uciekać się również wiele szkół ośmioletnich. Jeśli dodamy do tego niższe na ogół kwalifikacje zawodowe nauczycieli wiejskich i słabsze wyposażenie tych szkół, to nie trudno o wniosek, że wiejska 8-latka w wielu wypadkach daleka jest jeszcze od ideału. Przedłużenie szkoły podstawowej na wsi może więc w pierwszym okresie nawet oznaczać pogłębienie trudności ze sprawnością nauczania i zwiększyć dysproporcje

w poziomie absolwentów, w porównaniu z młodzieżą z miejskich ośrodków. Odbija się to, oczywiście, niekorzystnie na szansach dzieci wiejskich w egzaminacyjnej rywalizacji do szkół średnich, zwłaszcza liceów ogólnokształcących i niektórych typów techników, gdzie przed zdającymi stawia się wyższe wymagania.

Tak więc, mimo ogromnego postępu oświaty ogólnej na wsi w 20-lecie władzy ludowej, zagadnienie „równego startu” nawet na elementarnym poziomie wykształcenia pod stawowego, nie jest jeszcze w pełni rozwiązane. Dlatego też przedmiotem ciągłej troski musi być nadal stwarzanie odpowiedniej bazy lokalowej dla szkół ośmioletnich na wsi. Musi wydatnie poprawić się stan wyposażenia tych szkół w pracownię i gabinety. Niezbędne jest też szybkie podnoszenie kwalifikacji kadr nauczających oraz właściwe rozmieszczenie pedagogów z dyplomami szkół wyższych lub półwyższych. Łączy się to znów z niełatwym problemem zapewnienia tym ludziom przyzwoitych warunków mieszkaniowych.

Wszystko to wymaga olbrzymich nakładów inwestycyjnych. Zanim zostaną one zrealizowane, trzeba śmiało korzystać z innych wypróbowanych środków zbliżenia do wiejskiego dziecka. Jednym z nich jest wprowadzenie stałego dowożenia dzieci do szkół zbiorczych. U naszych bydogoskich sąsiadów od dwóch lat działa z powodzeniem 6 specjalnych szkolnych linii autobusowych, których wyłącznym zadaniem jest dowożenie dzieci do szkół. Jest to rozwiązanie od dawna stosowane na zachodzie Europy, w USA i Kanadzie, skuteczniejsze i tańsze od prób przybliżenia pełnowartościowych szkół do wszystkich dzieci. Ideałem byłoby pobudowanie w wiejskich ośrodkach wiejskich i małomiasteczkowych sieci internatów, w których zamieszkiwaliby uczniowie z odległych miejscowości przez cały tydzień. — Ale jest to raczej sprawa dalekiej jeszcze przyszłości.

Tu dziecięcy PKS

Problem dowożenia dzieci do szkół zbiorczych, jako pierwszy w naszym województwie rozwiązał kompleksowo powiat kościański. Po uprzednim zapoznaniu się z doświadczeniami NRD i w woj. bydogoskim, gdzie transport odbywa się za pomocą autobusów szkolnych, Kościan postanowił osiągnąć ten sam cel poprzez komunikację PKS. Dowożenie obejmujące około 270 dzieci z 7 miejscowości (Kokorzyn, Nielegowo, Łagiewniki, Szczepowice, Zbąch, Łuszkowo, Świnie) do 4 szkół zbiorczych (Kościan, Konojad, Jerka, Krzywiny). W 7 wymienionych miejscowościach obniżony został stopień organizacyjny szkół, z projektowanych pierwotnie 8-klasówek o 4—6 nauczycielach, do szkół z programem 1 do 4 klas. Zlikwidowano z 11 uczniami w Nielegowie.

W drodze specjalnej umowy z dyrekcją PKS w Lesznie, stworzone zostały 3 węzły komunikacyjne, pokrywające się z rejonami szkół zbiorczych. Do potrzeb szkolnych dostosowany został rozkład kursów autobusowych. Dzieci przewożone są tam i z powrotem pod opieką nauczycieli, którzy zatrudnieni zostali w szkołach zbiorczych. Po zajęciach pomagają oni swym podopiecznym w odrabianiu lekcji. Dzieci oczekujące w świetlicy na odjazd autobusu, otrzymują gorący posiłek. Średni, dzienny koszt przejazdu na wszystkich trasach wynosi około 1.500 zł i pokrywany jest z funduszy Wydziału Oświaty i Kultury Prezydium PRN.

Z rocznych doświadczeń kościańskich wynika, że dowożeni uczniowie wykazują aktywniejszy, niż poprzednio stosunek do nauki, starając się dorównać poziomem wiedzy oraz zachowaniem i wyglądem zewnętrznym miejscowym kolegom. W wypowiedziach ankietowych cenią sobie szczególnie możliwości wyższycia się na lekcjach wychowania fizycznego oraz udziału w pracy koleżeńkiej zainteresowań i organizacji uczniowskich. Na uwagę zasługują również fakt podniesienia stopnia organizacyjnego szkół zbiorczych, które, przygotowując się do zwiększonych zadań dydaktyczno-wychowawczych, wyposażone zostały w pełny asortyment pomocy naukowych oraz w pracownię i świetlicę.

Powodzenie kościańskiego eksperymentu jest więc najlepszym propagatorem idei przybliżenia dzieci z małych ośrodków wiejskich do prawdziwej ośmiolatki.

P przed paroma dniami przyjechał na stałe do Poznania nowy dyrektor teatrów dramatycznych — Jerzy Zegalski. Dyrektora Zegalskiego nie wszystkim naszym czytelnikom trzeba przedstawiać. Urodził się w Poznaniu, tutaj ukończył studia teatralne pod kierunkiem Nuni Młodziejewskiej-Szczurkiewiczowej, tutaj też za dyrekcją Wilama Horzycy zadebiutował spektaklem „Igraszek trafu i miłości”, Marivaux, jako reżyser. W Poznaniu wystawił też w latach 1950—53, m. in. — że wymienimy tylko ważniejsze pozycje: — „Zemstę”, Fredry i „Ruchome piaski” Chyrowskiego. Potem reżyserował w Gliwicach, w Operze bytomskiej, Olsztynie, Zielonej Górze, Białymstoku. W 1961 r. zmienił go na stanowisku dyrektora teatru w Zielonej Górze, Marek Okopiński. Obecnie jest właśnie odwrótnie. Przez ostatnie sześć lat Jerzy Zegalski prowadził scenę białostocką. Nowego dyrektora i kierownika artystycznego naszych scen dramatycznych poprosiliśmy o wstępną rozmowę na temat repertuaru, planów i koncepcji artystycznych najbliższego sezonu.

TEATR MUSI UMIEĆ TRAFIĆ DO KAŻDEGO

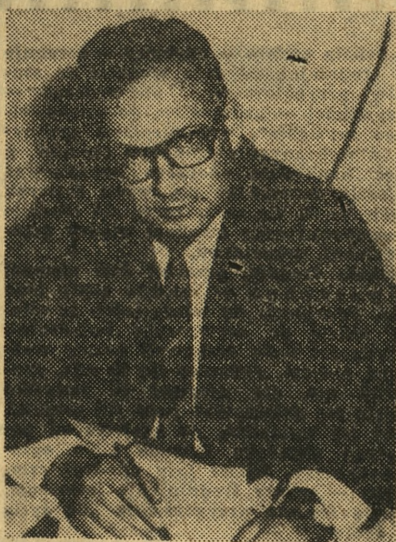
Rozmawiamy z Jerzym Zegalskim dyrektorem Teatru Polskiego w Poznaniu

— Czytelników naszych ciekawi zapewne przede wszystkim, jaki rodzaj teatru pragnie Pan zaszczepić w Poznaniu. Jakie cele stawia sobie Pan obecnie, jako dyrektor poznańskiego teatru?

— Wydaje mi się, że w sytuacji, gdy w wielkim mieście istnieje tylko jeden teatr dramatyczny o dwóch scenach, musi on z konieczności prowadzić działalność wielostronną, odwołując się do różnych warstw publiczności i odpowiadając na bardzo różne zapotrzebowanie widzów. Ten rodzaj teatru, który prowadził mój poprzednik — Marek Okopiński, jak sądzę, temu celowi służył, tej funkcji odpowiadał. — I dlatego moja działalność w Poznaniu rysuje mi się obecnie jako pewnego rodzaju kontynuacja programu poprzedniej dyrekcji. Zmianie dyrekcji nie towarzyszą obecnie żadne większe zmiany w zespole. —

Przyjmujemy na siebie też wszystkie zobowiązania poprzedniego dyrektora w stosunku do reżyserów, aktorów. Z wyjątkiem czterech osób, które wcześniej już wyraziły gotowość odejścia z Poznania, pozostaje ten sam zespół członków kierownictwa artystycznego teatru i aktorów. Grono reżyserów powiększy się tylko o Izabellę Cywińską-Adamską, która reżyserowała u mnie w Białymstoku. Przybędzie też parę aktorek i aktorów: Alina Lipnicka z Wrocławia, Eleonora Hartock, absolwentka PWST z Łodzi, Andrzej Juszczyk z Wybrzeża, Włodzisław Kłopotki z Białegostoku. Z teatru kaliskiego przechodzi też do Poznania dwóch młodych aktorów: Zbigniew Sieciechowicz i Stanisław Staniak.

— Zapewne za wcześnie jest już obecnie mówić o planach repertuarowych całego sezonu, może



Jerzy Zegalski
Fot. — H. Kamza

powie nam Pan jednak, dyrektorsze, przynajmniej, jakiego typu sztuki brane są pod uwagę obecnie przy układaniu repertuaru?

— Kilka pozycji mamy już ustalonych, reszta rzeczywiście jest jesz

Dokończenie na str. 2

Czy światu grozi głód?

Przyrost ludności na naszym globie postępuje znacznie szybciej niż przyrost środków żywnościowych. Z tego powodu już dzisiaj — według oficjalnych statystyk — 300 milionów ludzi żyje na pograniczu głodu i około 10 tysięcy ludzi umiera codziennie padając ofiarą niedożywienia.

Gwałtowny przyrost ludności na świecie jest jednym z elementów kryzysu żywnościowego. — Przyjmijmy, że proces przyrostu naturalnego, który doprowadził ludność do aktualnego poziomu trwał 30 milionów lat. Oto sedno rzeczy. Jest na świecie 3 miliardy 250 milionów ludzi i liczba ta rośnie z szybkością 200 tys. ludzi dziennie. Rocznie przybywa na naszym globie tyle ludności ile jej liczy całe Zjednoczone Królestwo Brytyjskie. Jak przewidują demografowie — a jak dotychczas ich przewidywania sprawdzały się — do roku 1995 będzie na naszym, coraz ciasniejszym globie, 6 miliardów 500 milionów ludzi.

Jak tej rosnącej burzliwie masie ludności zapewnić dostateczną ilość pożywienia skoro już dzisiaj w wielu krajach problem żywnościowy staje się centralnym problemem gospodarczym i społecznym?

Uczni obliczają, że przy ludności 50 miliardowej na świecie istnieć będzie gęstość zaludnienia 1000 osób na kilometr kwadratu wliczając w to wszystkie pustynie i obszary podbiegunowe. Przy obecnym tempie rozrodczości może to nastąpić już około roku 2100. Czy taką liczbę ludności ziemia będzie mogła wyżywić?

W świecie zwierzęcym eksplozje demograficzne regulowane są poprzez okresy wielkiego głodu i epidemii, które sprowadzają nadmierną ilość osobników do takiego poziomu, przy jakim istniejące zasoby żywnościowe zdolne są zabezpieczyć potrzebę bytowania. Ponieważ jednak człowiek jest istotą myślącą i planującą — nie jest więc zdany na żywiołowe siły regulacyjne natury, ale sam może podjąć kroki zapobiegawcze, kontrolując przyrost osobników swego

jego gatunku i zabezpieczając planowo środki żywnościowe dla tych, którzy zaludniają naszą planetę.

Uczni zwracają uwagę, że po to, by ustabilizować stan ludnościowy na lata 2040—2050 należy radykalnie kroki podejmować w najbliższych dziesięcioleciach. Jeżeli bowiem tych środków nie przedsięwzię się w najbliższych latach, roczniki dojrzewające i wchodzące w okres rozrodczy — popchną tę statystykę dalej i dalej aż do kryzysowej sytuacji żywnościowej.

Postawiona wobec alternatywy głodu ludzkość musi w ciągu najbliższych 40 lat w sposób radykalny pchnąć również naprzód — tj. zwiększyć czterokrotnie — produkcję żywności. Dokonać tego można jedynie, rewolucjonizując warunki społeczne i techniczne produkcyjną, wprowadzając nowe technologie i nowe procesy chemicznej syntezy. W takiej sytuacji nie może być mowy o marnotrawieniu zasobów, o niszczeniu zapasów dla utrzymania cen rynkowych — w takiej sytuacji nie można sobie będzie pozwolić na to, co obecnie dzieje się w gospodarce kapitalistycznej — na coroczne marnotrawienie żywności wartości 20 miliardów funtów szterlingów i zamrażanie mocy produkcyjnych. Istnieją również wciąż jeszcze ogromne rezerwy produkcyjne w uprawach zbożowych, które w niektórych rejonach można zwiększyć 10-krotnie — w wykorzystaniu oceanicznych zasobów rybnych i planktonowych, zważywszy np. że 98 proc. aktualnych połowów światowych dokonuje się na półkuli północnej. Badacze wskazują, że ogromne rezerwy tkwią w uprawianiu zbiorników wodnych, które zdolne są dostarczyć do 9 tysięcy funtów ryb z akra.

Tak więc społeczność ludzką na naszym globie w najbliższych pokoleniach oczekują dwa zadania: regulacja i przyhamowanie burzliwego przyrostu naturalnego oraz troska o rozwój tych dziedzin produkcji, które zabezpieczają żywność dla świata.

Jarocińskie odkrycie zbiorów gołuchowskich

Wiadomość przekazana nam telefonicznie z Jarocińskiej Fabryki Obrabiarek brzmiała rewelacyjnie. „Znaleźliśmy część zbiorów gołuchowskich. Tak nam się przynajmniej wydaje. Prosimy o przyjazd przedstawiciela redakcji”.

Gdzie Krym, gdzie Rzym? Co ma Fabryka Obrabiarek do Muzeum w Gołuchowie? Telefonował dyrektor fabryki Marian Polowczyk. Więc chyba jednak wiadomość jest prawdziwa. Zawiadomiliśmy natychmiast Muzeum Narodowe w Poznaniu i z jego przedstawicielem wybraliśmy się do Jarocina.

Zbiory okazały się autentyczne.

Znaleziono mapy Polski przedrozbiorowej z 1757 r., album oprawiony w skórę zawierający około 200 fotografii — członków rodziny Czartoryskich oraz wielu znakomitych Polaków żyjących w XIX stuleciu, m. in. Zygmunta Krasińskiego, Ignacego Kraszewskiego, Deotymy — poetki i powieściopisarki, Kazimierza Kantaka, Karola Libelta, Bronisława Dąbrowskiego (syna Henryka) i wielu, wielu innych. Jest też księga zwiędzających Muzeum w Gołuchowie z lat 1928 do 1939, posiadająca wartość dla socjologów, są nuty walca pt. „Skarby Polski” z r. 1828 dedykowanego księciu Czartoryskiemu przez Jana Straussa, kwity adresowane na hotel Lambert w Paryżu, wystawione przez antykwariuszy paryskich za przedmioty kupione dla Gołuchowa, rysunki planów Gołuchowa, rysunki bazyliki sporządzone w latach osiemnastych ubiegłego stulecia przez Kopczyńskiego, snycerza-artystę, wykonawcę kłatki schodowej w Gołuchowie. Ogłędami egzemplary „Chimery” — czasopisma literackiego okresu Młodej Polski, rękopis powieści pisanej w języku francuskim — niewiadomego autora oraz wiele innych dokumentów, rysunków i fotografii. Wśród nich jest również, nieznaną do tej pory fotografią założycielki Gołuchowa (jednego z pierwszych w Europie pałaców magnackich, którego zbiory udostępniono zwiędzającym) Izabelli z Czartoryskich Dziewięckiej.

Frapująca jest historia ocalenia tych bardzo cennych dla kultury polskiej dokumentów.

W roku 1940 hitlerowcy ogołocili Gołuchów i okoliczne dwory, wyrzucając wiele — według ich oceny — bezwartościowych dokumentów i ksiąg do wielkiego lamusa makulatury znajdującego się w Jarocinie. Stamtąd znalezioną obecnie część zbiorów gołuchowskich wykradł „gałganiarz”, który od lat skupował makulaturę w Jarocinie i okolicy. Zorientowawszy się, że zabrane Niemcom papiery mogą mieć dużą wartość, zaproponował ich kupno właścicielowi sklepu komisowego z Jarocina — Kozłowskiemu, który rzeczywiście zapłacił za nie dużo więcej niż punkt skupu makulatury i zapakowawszy wszystko dokładnie, ukrył w koszu na strychu swego domu. 3 lata po tych zdarzeniach Kozłowski zmarł, a zaabsorbowana troską o drobne dzieci wdowa po nim, zapomniawszy zupełnie o przechowywanych na strychu skarbach. I może leżałyby tam jeszcze lat kilka czy kilkanaście, gdyby nie pasja turystyczno-krajoznawcza Stefana Hayzera — przewodniczącego koła PTK w Jarocińskiej Fabryce Obrabiarek.

Powstałe z inicjatywy mistrza elektryka Stefana Hayzera koło PTK przy Jarocińskiej Fabryce Obrabiarek znane jest ze swej aktywności krajoznawczej. Jego członkowie znają już wszystkie co cenniejsze zabytki Wielkopolski. I nie tylko znają. Wytworzyli w swym kole atmosferę pietystu dla zabytków, klimat gorącego zainteresowania do historii ojczystego kraju.

Pracownikiem Jarocińskiej Fabryki Obrabiarek jest też Jan Kozłowski — syn byłego właściciela sklepu komisowego z Jarocina. On to przełożył zrodzone w fabryce zainteresowania krajoznawcze na teren rodzinnego domu. I wtedy właśnie jego matkę — starszuczkę przypomniało się o przechowywanych wśród rupieci na strychu dokumentach.

Przyniesionymi do fabryki zbiorami zainteresowano dyrekcję i urządzono ich 2-dniową wystawę w świetlicy fabrycznej, po czym zawiadomiono naszą redakcję.

Zbiory, po ich szczegółowym zbadaniu w pracowniach Muzeum Narodowego znajdują się więc po 27 latach znowu w Gołuchowie, aby wbrew zamiarom hitlerowskich waleń kształcić dalej w historii ojczystej następne pokolenia Polaków.

O rozwodach inaczej

Na wstępie małe wyjaśnienie. Wszystko co poniżej zostanie napisane nie będzie absolutnie propagowaniem rozwodów. Doceniam całą szkodliwość społeczną rozbięcia rodziny, chodzi jednak o rozpatrzenie pewnych sytuacji i o przeciwności, które może w innym świetle postawić ten problem.

W Polsce sądy, nie chcąc skazywać ludzi na „dożywocie”, orzekają obecnie około 15 tysięcy rozwodów. Każda sprawa zbadana jest bardzo wnikliwie, co ma na celu przede wszystkim dobro małoletnich dzieci.

Dziecko, aby rozwijało się normalnie musi się czuć w rodzinie pewnie, musi być kochane i mieć poczucie bezpieczeństwa. Tego mu niestety nie potrafi zapewnić dom, w którym na porządku dziennym są kłótnie między rodzicami, gorszące sceny, czasem pijackie awantury, w których często uczestniczą dzieci. Taka rodzina i jej atmosfera, jeżeli w dodatku stan ten trwa przez czas dłuższy, ma jak najbardziej destrukcyjny wpływ na dziecko.

Potwierdzają to przeprowadzone przez neuropsychiatrów dziecięcych badania, dotyczące wpływu rodziny na powstawanie zaburzeń uczuciowych, wykoślenie moralne i przestępczość nieletnich.

Niewłaściwa struktura i atmosfera rodziny stała się przyczyną zaburzeń u 50 proc. dzieci francuskich, 42 — belgijskich, 50 proc. amerykańskich. W Polsce procent ten wynosił 54.

Czy można powyższe zjawisko zlikwidować? — Na to pytanie niepodobna odpowiedzieć jednoznacznie. W każdym ra-

nie pewne jest, że liczbę dzieci z zaburzeniami na tym tle można ograniczyć. Warunkiem jest jednak podjęcie w porę jakiejś decyzji i trzeźwe przekalkulowanie przez skłóconych rodziców, czy od wspólnych garnków, telewizora i teściowej ważniejsze jest zdrowie dziecka czy nie.

Dziecko wciągnięte do spraw dorosłych nie zawsze wie po czyjej stronie stanąć, przecież kocha oboje rodziców. Nawet jeśli konflikty są dla niego mniej oczywiste, rodzice bowiem starają się ukryć przed nim wzajemną niechęć, podświadomie wyczuwa nienormalność sytuacji. Przeżywa uczucie zazdrości, lęku czy nienawiści. I taki stan rzeczy, choć bez awantur i wyzywk, dezorganizujący wpływa na całokształt psychicznego rozwoju dziecka.

Po co więc ciągnąć beznadziejnie taką sytuację w nieskończoność?

Im dziecko młodsze tym plastyczniej jest jego układ nerwowy, który wprawdzie szybko ulega deformacji, ale i prędzej może się regenerować.

Formalne rozejście się rodziców jest na pewno dla dziecka szokiem. Potem jednak szok mija, a nowe, spokojniejsze warunki życia ułatwiają mu powrót do normy. Dziecku potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa, musi się czuć akceptowane. O tym zaś decyduje nie struktura formalna rodziny, ale jej wewnętrzna spójność, wzajemna sympatia i życzliwość domowników. Tak więc lepiej jest na pewno jeśli dziecko wychowuje się w rodzinie niepełnej, ale spokojnej, otaczającej je opieką, niż gdyby miało obydwoje rodziców, ale żyjących ze sobą niezgodnie, wprowadzających do domu poczucie zagrożenia.

Spójrzmy więc na sprawę: dziecko i rozwód mniej stereotypowo i pomyślnie, które zło jest czasem mniejsze.

JCZEF CHMIELNICKI

TEATR DLA KAŻDEGO

Dokończenie ze str. 1

cze niepewna. We wrześniu powinna się odbyć premiera „Bereniki” Racine’a. Sztuka ta jest już w próbach, a ją reżyseruje, scenografię projektuje Teresa Ponińska. Na 50-lecie Rewolucji proponujemy „Najazd” Leonowa oraz „Misterium Buffo” Majakowskiego lub „Śmierć Terielkina” Suchowa - Kobylina. — Jedną z dwóch ostatnich wymienionych pozycji — reżyserować będzie gościnnie Piotr Fomienko z Moskwy. Dla widzów dziecięcej przygody adaptację z Andersena „Bajki o czerwonym pantofelku”.

W dalszych planach sezonu, chcielibyśmy wystawić „Latarnię” Jiraśka. Sztuka ta zapoczątkować ma cykl inscenizacji pt. „Teatr naszych przyjaciół”, który obejmie najwartościowsze pozycje krajów naszego obozu. Następnymi pozycjami z tego cyklu byłyby „Tragedia człowieka” Madacha oraz jedna z komedii Carragiale, może „Zagubiony list”, może coś innego. Drugi cykl inscenizacji, jakie chcielibyśmy razem z kierownikiem literac-

kim, Stanisławem Hebanowskim pokazać, nazwalibyśmy „U progu współczesności”. Obejmuje on sztuki — które najślisz zaciągały na aktualnym kształcie współczesnego dramatu. Cykl ten zainauguruje prawdopodobnie jedna ze sztuk, Pirandella. W bieżącym roku mija akurat rocznica 100-lecia urodzin autora. W tym cyklu bierzemy też pod uwagę sztuki: Wedekinda, Strindberga i Alfreda Jarry’ego. Poza tym oczywiście, wielka klasyka: „Achilleis” Wyspiańskiego, „Król Ryszard III” Szekspira. Znacznie trudniej jest się nam jednak zdecydować na jakąś polską pozycję współczesną.

— Podziela Pan więc, dyrektorze, dość powszechnie panującą pogląd, że nie mamy dobrych polskich sztuk współczesnych do grania. Z repertuaru współczesnego chyba jednak całkowicie nie zrezygnujemy?

— Co najmniej jedną pozycję rezerwujemy sobie dla polskiej dramaturgii współczesnej. Dobrych sztuk, trafiających w sedno problemów, interesujących widza, jednak rzeczywiście nie mamy. Szukamy ich jednak. Zainteresowała nas np. nowa sztuka, Jana Pawła Gawlika: — „Ślawa”. Może właśnie ja, jeśli wcześniej nie zostanie wystawiona w telewizji, pokażemy. Wydaje się, że jest to dobra problemowo sztuka.

Przyznam, że trudno jest mi nawet znaleźć wytłumaczenie dla faktu, że tak słabo przedstawia się obecnie nasza dramaturgia. Nie tylko artystycznie, nawet i ilościowo. W ogóle nie ma nic nowego do grania; nawet złych sztuk jest niewiele.

— Może zdradzi Pan jeszcze — jaki Panu, jako reżyserowi — typ teatru i dramatu najbardziej odpowiada. Nad czym Pan najchętniej pracuje?

— Najbardziej interesuje mnie polska wielka klasyka. Reżyserowałem już: „Dziady”, „Sułkowskiego”, „Fantazego”, „Kordiana”. W Poznaniu chcę inscenizować „Achilleis” Wyspiańskiego, chcę także powrócić do „Dziadów”. Chętnie pracuję też nad sztukami współczesnymi. — Na scenę białostocką wprowadziłem np. „Sonatę Belzebuba” Witkiewicza, „Przerwę w podróży” Karpowicza. Za mojej dyrekcji w Białymstoku odbyła się także polska prapremiera „Dozorcy” Pintera. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie można realizować tylko tych pozycji, które samemu się bardzo ceni. W Poznaniu starać się więc będę przygotować repertuar wszechstronny i różnorodny. Nie powinno w nim zabraknąć także pozycji muzyczno-rozrywkowych.

Rozmawiał: OLGIERD BŁAŻEWICZ

W tej sytuacji potrzebne są zmiany po to, by uzyskać lepsze możliwości dokonania prawidłowego wyboru najlepszych kandydatów na wyższe uczelnie.

„Jeżeli szkoła średnia ma pomóc swojemu wychowankowi — a to jest jej obowiązkiem — powinna pomóc zarówno młodemu człowiekowi jak i jego rodzicom w rozeznaniu się w jego możliwościach (...). Komisja rekrutacyjna — czytamy — (...) powinna (...) wskazywać właściwe perspektywy, znajdując pokrycie w predyspozycjach swojego podopiecznego.”

KTO MA BYĆ NAUCZYCIELEM NAUCZYCIELI?

Oto inne pytanie związane z dyskusją o obliczu naszego szkolnictwa. Wiadomo, że centralną postacią wszelkiej działalności szkoły jest nauczyciel; od jakości jego wykształcenia przede wszystkim zależy powodzenie nauczania. Po zdecydowanej już likwidacji liceów pedagogicznych, nauczycieli kształcić mają przedłożone do 3 lat studia nauczycielskie. Oprócz wielu zwolenników takiego systemu jest i grupa specjalistów opowiadających się za kształceniem nauczycieli w szkolnictwie akademickim — w uniwersytetach i wyższych uczelniach. To ostatnie jest trudne do przeprowadzenia, bo zahamowały na jakiś czas dopływ kad nau-

czycielskich, a ponadto brak przecież dostatecznej liczby miejsc w szkołach wyższych.

Stąd propozycja Bolesława Milewicza w „Tygodniku Demokratycznym”, by wypróbować koncepcję kompromisową.

Autor proponuje np. w Poznańskim, które obecnie prowadzi dwa studia nauczycielskie w Poznaniu i jedno w Kaliszu, utworzyć w oparciu o nie filie uniwersyteckie o 3- lub 4-letnim cyklu nauczania. Takie doświadczenie nie zakłóci ogólnokrajowego systemu nauczania, a przyniesie może doświadczenia, które w przyszłości pozwolą przejść na kształcenie nauczycieli w pełnowartościowych szkołach akademickich.

To ostatnie wobec postępujących wymagań w stosunku do nauczycieli staje się coraz bardziej nieodzowne.

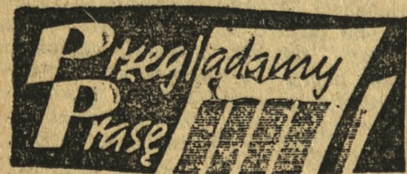
LEPSZE TOWARZYSTWO

I po raz trzeci o kształceniu i wychowaniu, tyle że nie w szkołach. Aleksander Mag w artykule „Lepsze towarzystwo” przedstawia na łamach „Prawa i życia”, metody działania różnych zdemokracowanych już hochstaplerów, z których jeden, zwany Radcą, nabrał ludzi i w Poznaniu. Nie sposób tu zrelacjonować choćby niektó-

rych metod działania pana Radcy: więc przytoczmy tylko dwie konkluzje z tego pouczającego artykułu:

„Rolnik, starający się o eksmitowanie dzierżawcy rolnego, placący panu Radcy i jego córka, studentka, zanosząca pieniądze, uważają bez wątpienia, iż w urzędach trzeba smarować. Kobięcina sprzedająca kapę z łożka, aby mieć na załaznik do podania o dozwolenie i właścicieli warsztatu samochodowego, starający się o kolekturę totolotka dla córki, za dziesiątki tysięcy oraz właściciela zakładu bieleziarskiego, opłacającego sprawę uwolnienia męża z więzienia — wszyscy oni dali namacalny dowód swoim poglądom. A pan Radca co? — on tylko zbierał owoce tych poglądów, równie czyste co zakazane (...). Portrety aferzystów są nie tylko ich wizerunkami, są w nich ujęte również cechy społeczeństwa, wierniej niż w niejednej ankiecie socjologicznej, głębiej, niż w niejednym raporcie, ostrzeżenie, niż w niejednej satyrze. Gdzie urządził ich galerię? W wazelinujących się urzędach? W biurach, gdzie kolega dla kumota zrobi więcej niż wolno? Akt oskarżenia przeciwko panu Radcy, kilkadziesiąt stron maszynopisu powinien być lekturą obowiązkową na równi z Sienkiewiczem i wychowaniem obywatelskim w szkołach licealnych, zanim młodzież zdąży wyrosnąć w oparciu o wzorce, które podsuwa starsze społeczeństwo.”

LEKTOR



RZECZ O NABIJANIU W BUTELKĘ

Każdego roku toczy się swoista gra między szkołą średnią a szkołą wyższą: kto kogo nabije w butelkę? Idzie o to, że zazwyczaj po egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie, co w tym roku było szczególnie głośne, przedstawiciele wyższych uczelni stwierdzają, iż absolwenci liceów są bardzo słabo przygotowani, a przedstawiciele szkół średnich z kolei zaprzeczają temu. Sytuacja powtarza się od lat — przerosła już w konflikt: brak bowiem współpracy między szkolnictwem średnim i wyższym. Zdaniem Zbigniewa Kwiatkowskiego, który pisze o tym w „Życiu Literackim”, konflikt wynika z różnego pojmowania zadań szkoły średniej.